DOROTA COMBRZYŃSKA-NOGALA

SKUTKI UBOCZNE ELIKSIRU MIŁOŚCI

LITERATURA

Dorota Combrzyńska-Nogala
Skutki uboczne eliksiru miłości

© by Dorota Combrzyńska-Nogala
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:
Elżbieta Chojna

Skład i korekta:
Aneta Kunowska, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-496-6

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2017
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
faks (42) 632-30-24
www.wyd-literatura.com.pl

Stan wojenny

Zaczęło się od sąsiadów Sadowskich. Drukowali nielegalne, opozycyjne gazetki razem z rodzicami Jacka Chwata i mieszkali w tej samej kamienicy dwa piętra niżej. Tego niezwykłego dnia 13 grudnia 1981 roku, kiedy świat się zawalił, chłopak jak zwykle wstał pierwszy i snuł się po cichym mieszkaniu. Wszyscy jeszcze spali. Nalał sobie szklankę zimnego mleka z lodówki, ukroił kawałek chałki, posmarował masłem i z uczuciem głębokiego zadowolenia usadowił się przy szerokim, kuchennym parapecie z książką. Uwielbiał chwile, zanim niedziela się rozkręciła i w mieszkaniu robiło się gwarno i tłoczno. Włączył cicho radio, żeby posłuchać muzyki. Tam poważny głos poinformował go, że wprowadzono stan wojenny. Zdziwił się, ale nie przeraził. W końcu w radiu były różne audycje, więc pewnie to jakieś nowe słuchowisko. Może nawet kryminał! – ucieszył się. Właśnie wtedy ktoś załomotał do drzwi.

Otworzył. Na wycieraczce trzęsła się przerażona sąsiadka z ogromnymi wałkami na głowie. Natychmiast udzielił mu się jej strach. Nie mógł od niej oderwać wzroku, bo Kicia Jaworowa, zawsze elegancka i umalowana, teraz stała blada i jakaś obca w wielkim szlafroku we flamingi i klapkach z różowym puszkiem.

– Jacuś! Stan wojenny wprowadził… – zapowietrzyła się z wrażenia i musiała przełknąć ślinę. – Jaruzelski[1]! Budź rodziców!… Migiem! – dodała, widząc go w stanie osłupienia.

Pobiegł do sypialni i zapukał. Zanim usłyszał „proszę", klamkę nacisnęła Jaworowa i ryknęła w stronę poruszającej się kołdry:

– Stan wojenny, a wy… – wyrzuciła z siebie, obrzucając łóżko krytycznym spojrzeniem.

Wszystko znieruchomiało, a sekundę później potargane głowy mamy i taty wynurzyły się z pościeli.

– Prosiłem, żeby pukać. Ja do ciebie pukam – tata zwrócił się do Jacka z pełnym rezygnacji wyrzutem.

– Ja pukałem! – odpowiedział z naciskiem syn, patrząc ciężko na sąsiadkę. – To ona.

– Jacuś! – przywołała go do porządku mama, odgarniając z twarzy swoje bujne, naturalnie poskręcane we wszystkie strony włosy. – Kiciu, co się stało?

– Przecież mówię. Od rana same mazurki Chopina w radiu i generał Jaruzelski przemawia, że jest zmuszony – to wysyczała z przekąsem – wprowadzić stan wojenny i godzinę policyjną, a także zakaz poruszania się między województwami bez zezwolenia. Telefony nie działają… A władzę sprawuje jakiś WRON – Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego… – coś jeszcze chciała dodać, ale do sypialni rodziców wkroczył zaaferowany dziadek.

– Wstawajcie! Coś się dzieje u Sadowskich! Jakieś krzyki i łomot. Pewnie znowu rewizja. A jak u nich, to zaraz mogą się i u nas zjawić, a wy… – spojrzał na syna i synową – bez gaci.

---

[1] Wojciech Jaruzelski – generał, polityk, działacz komunistyczny, wprowadził stan wojenny, który jego zdaniem uratował kraj przed interwencją Związku Radzieckiego. Wielu historyków uważa jednak, że nadużył władzy w obronie dyktatury komunistycznej.

– Skąd wiesz? – zirytował się tata Jacka. – Masz rentgen w oku?

Dziadek milczał wyniośle.

– To może byście tak dali nam szansę ubrać się i wyszli – poprosiła mama zgromadzonych nad swoim małżeńskim łożem.

No to wyszli, słysząc jeszcze:

– Tyle razy mówiłam, żeby zamykać się na klucz. Człowiek w końcu nerwicy dostanie.

Po chwili wszyscy tkwili przy oknie i patrzyli na podwórko, gdzie dwóch milicjantów i dwóch cywili prowadziło szarpiącego się Sadowskiego do nieoznakowanej nyski. Obok dreptała zapłakana pani Sadowska z niemowlęciem w objęciach, które próbowała jej odebrać milicjantka. Coś tam tłumaczyła, ale matka przecząco i kategorycznie kręciła głową.

– Matko Boska aresztują ich! – szepnęła Kicia Jaworowa, potrząsając lokówkami.

– A co z dzieckiem? – spytała ze zgrozą mama. – Pobiegnę tam i spytam.

– Może lepiej ja! Was też mogą przy okazji zgarnąć. Razem przecież konspirujecie! – zaoferowała się heroicznie sąsiadka i już pędziła po schodach, przeskakując zwinnie po dwa schody naraz, mimo swoich idiotycznych klapek. Ich przeraźliwy stukot wypełniał całą klatkę schodową. Za nią pędzili Chwatowie, w końcu nazwisko zobowiązuje.

Jacek cofnął się do korytarza, natychmiast wyobrażając sobie, że to jego wpychają do obcego samochodu, samego, bez rodziców i dziadka. Gdzie tu się schować, kiedy wpadną? – gorączkowo przeczesywał w myślach wszystkie domowe zakamarki.

– Chodź! – przywołał go dziadek, wskazując parapet i leżącą na nim, nadgryzioną chałkę. – Stąd świetnie widać.

Podszedł na sztywnych nogach, przełykając nerwowo ślinę. Zerkał w stosownej od szyby odległości. Nie chciał, żeby dziadek wiedział, jak bardzo się boi. Z innych okien ludzie obserwowali scenę na podwórku bardziej dyskretnie. Tylko jedno się uchyliło i jakiś głos krzyknął z satysfakcją:

– Zabrać wywrotowców! – po czym zamknęło się z trzaskiem.

– Widzisz, wnuku, można zacytować poetę: „Gdy wieje wiatr historii, ludziom jak pięknym ptakom rosną skrzydła, natomiast trzęsą się portki pętakom”[2].

Chłopiec schylił głowę jak winowajca. To jego nazwisko „Chwat” to chyba specjalnie, na ironię, żeby przypominało, jakim jest cieniasem wśród całej rodziny bohaterów, walczących z komuną i nieznających strachu.

W końcu milicjantom udało się na siłę wpakować Sadowskiego do nyski, a za nim Sadowską. Z nią było trudniej, ponieważ trzymała niemowlę, a miała bardzo długą wąską spódnicę i kożuch. Milicjantka usłużnie wyciągnęła ręce po dziecko, żeby pomóc, ale już go nie oddała, tylko prędko oddaliła się do samochodu osobowego. Matka została z pustymi rękami i rozpaczą widoczną nawet z drugiego piętra. Coś krzyczała i wyrywała się do córeczki, ale siłą wepchnięto ją do nyski. Jackowi ścisnęło się serce, bo wiedział, jak bardzo wyczekiwanym dzieckiem była mała Agatka.

W chwili, kiedy Jaworowa i rodzice zbiegli na podwórko, samochody właśnie je opuszczały. Kicia heroicznie rzuciła się do osobowego i zastukała w szybę, która się uchyliła na sekundę, i auto pojechało.

– Dokąd zabrali dziecko? – spytał dziadek, kiedy wrócili zrezygnowani.

---

[2] Konstanty Ildefons Gałczyński, *Ballada o trzęsących się portkach*.

– Milicjantka zlitowała się i szepnęła, że do domu dziecka – powiedziała Kicia, zerkając mimochodem do lustra. – Rety! Jak ja wyglądam! – złapała się za głowę i wybiegła z mieszkania, łomocząc obuwiem.

– Przecież mogliby się dzieckiem zająć znajomi albo dziadkowie – nie rozumiała takiego okrucieństwa mama, stawiając czajnik na gazie.

– Oczywiście! I dlaczego? – zastanawiał się tata. – To ma na pewno związek ze stanem wojennym. Trzeba się dowiedzieć, co u innych.

W tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi. Spojrzeli na siebie zaniepokojeni.

– Ja pójdę. Jeśli mamy coś nielegalnego, spróbujcie to schować – powiedział dziadek.

– Ja mam – przyznała mama.

– Duże czy małe?

– Małe.

– Niech Jacek schowa do plecaka – poradził i udał się do korytarza.

Przyszli zaaferowani działacze z opozycji. Okazało się, że milicja zjawiła się w wielu domach i zabiera ludzi. Internowano[3] najważniejszych działaczy opozycji: przewodniczącego Niezależnego Samorządowego Związku Zawodowego Solidarność Lecha Wałęsę[4], jego zastępcę Andrzeja Gwiazdę, Tadeusza Mazowieckiego, Bronisława Geremka, Annę Walentynowicz, Adama Michnika, Jacka Kuronia… i wielu, wielu innych wal-

---

[3] Internowanie w stanie wojennym – zatrzymanie i uwięzienie działaczy Solidarności, ich doradców i osób należących do opozycji.

[4] Lech Wałęsa — działacz związkowy, polityk, prezydent Polski (1990–1995). Laureat Pokojowej Nagrody Nobla, uznawany za jednego ze stu najważniejszych ludzi stulecia na świecie.

czących o wolną i demokratyczną Polskę. Część z tych, którzy sądzą, że wcześniej czy później po nich przyjdą, postanowiła się ukryć. Poradzili, żeby Chwatowie zrobili to samo.

– A co z Jackiem?

– Też musi się ukrywać – powiedziała Kicia Jaworowa.

– Mowy nie ma – zaprotestowała mama. – A szkoła?

– E tam! Po nas nie przyjdą. Sadowski jest ważną osobą dla Solidarności, a my tylko drukujemy.

– Nielegalnie – przypomniała mu Kicia.

Niestety, z czasem okazało się, że miała rację. Kiedy tydzień później Jacek wrócił z mamą ze sklepu, w domu panował potworny bałagan. Wszystko poprzewracano do góry nogami i nie było ani dziadka, ani taty. Kici udało się podsłuchać, że przyszła podobna grupa jak do sąsiadów: dwóch milicjantów i dwóch z SB[5]. Pouczali dziadka i tatę, że nie zostali aresztowani, tylko internowani, żeby nie siali zamętu. Pozwolono im nawet zabrać szczoteczki do zębów i bieliznę na zmianę. Podobno inni nie zawsze mieli tyle szczęścia. Niestety Kicia nie wiedziała, dokąd ich zabrali. Mama miała łzy w oczach, ale trzymała się dzielnie i nie płakała.

– Pojadę na Lutomierską[6]. Dowiem się, o co chodzi – postanowiła. – Ty zostaniesz w domu!

Jacek odetchnął z taką ulgą, że aż mu się zrobiło wstyd.

– Bo jak mnie zgarną – kontynuowała mama – to ciebie wezmą do domu dziecka jak Agatkę. Jej dziadkowie dopiero wczoraj ją odzyskali. Musimy coś wymyślić na wszelki wypadek.

---

[5] SB – Służby Bezpieczeństwa, główne narzędzie państwa PRL do walki z opozycją.

[6] W czasie stanu wojennego przy ulicy Lutomierskiej w Łodzi znajdowała się siedziba wojewódzkich struktur Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa.

– Ja się mogę zaopiekować młodym – zgłosiła się ochoczo Jaworowa. Nie miała jeszcze własnych dzieci i pewnie dlatego była taka chętna.

– Nie jesteś rodziną. Mogą się czepiać – powiedziała mama. – Słuchaj, Jacuś, jakby się coś złego ze mną stało, wsiadasz w autobus i jedziesz do…

– Do Poznania, do cioci? – ucieszył się, bo z tego, co wiedział, ta ciotka prowadziła spokojne życie, bez ciągłych rewizji i nalotów.

– Nie, do Warty, do babci Majerankowej – zaprzeczyła mama. – Ciocia w Poznaniu nie będzie miała czasu ani warunków do opieki nad dzieckiem.

– Nie jestem dzieckiem! – powiedział ze złością.

– Oczywiście! – denerwująco się z nim zgodziła, co znaczyło, że jednak jest.

– A gdzie będę trenował?

– Zrobisz sobie przerwę.

I tak właśnie zaczęło się dla nich nowe życie. Jacek został sam w domu. Solennie przyrzekł, że nikomu obcemu nie otworzy i czytał sobie Tolkiena dla odwagi. Potem wróciła potwornie zmęczona mama z komendy milicji. Udało jej się zobaczyć z tatą i dziadkiem, ale jutro mieli ich wywieźć do więzienia w Łęczycy.

– Do więzienia! – westchnął ze zgrozą. – Przecież oni niczego złego nie zrobili. Do więzienia idą złodzieje i bandyci.

– Teraz idą porządni ludzie, najlepsi – wyjaśniła mama. – To nie jest żaden dyshonor, a nawet wprost przeciwnie – wysunęła dumnie i bojowniczo brodę do przodu, więc Jacek przestał się tak bardzo zamartwiać.

Za to w szkole nie było za wesoło. Co prawda część kolegów i koleżanek mu współczuła i podziwiała tatę, ale nie jego najbliższy przyjaciel Robert.

– Mój tata powiedział, że jesteście zdrajcami i siejecie zamęt, i przez takich, jak twój ojciec…

– I dziadek – zimno zwrócił mu uwagę Jacek.

– …może się znowu rozpętać wojna, i dlatego nie mogę się z tobą zadawać – wyjaśnił krótko, starając się nie patrzeć Jackowi w oczy. Zabrał swoją teczkę i bez pytania pani o zgodę przeniósł się na koniec klasy, do ostatniej wolnej ławki.

Pani spojrzała na Jacka współczująco, ale nie odezwała się, za to ruda Maryśka, która zawsze waliła prosto z mostu, oznajmiła klasie scenicznym szeptem:

– Robertina strach obleciał. Jaka matka, taka natka! Jego stary jest milicjantem. Może nawet twojego przyszedł skuć kajdanami razem z esbekami.

Robert oblał się rumieńcem, kiedy rozległy się chichoty. Trochę to Jacka pocieszyło, ale i tak bolało, bo nie spodziewał się takiego zachowania ze strony najbliższego przyjaciela, z którym siedział w jednej ławce od pierwszej klasy.

Ze zgrozą słuchał informacji o zamordowaniu przez oddział ZOMO[7] dziewięciu górników w kopalni „Wujek", którzy strajkowali przeciw ogłoszeniu stanu wojennego.

Jakiś czas później mama postanowiła wybrać się do Łęczycy w odwiedziny do męża i teścia. Spakowała świąteczną paczkę, ciepłe swetry, skarpety i smakołyki w postaci czekolady i chałwy wedlowskiej. Jacek zastanawiał się, jakim cudem to wszystko zdobyła, bo sklepy świeciły pustkami. Przedtem jednak musieli zabrać również paczkę dla znajomego, który też tam

[7] ZOMO – Zmotoryzowane Odwody Milicji Obywatelskiej w latach osiemdziesiątych używane głównie do brutalnego rozpraszania manifestacji opozycyjnych.

siedział. W tym celu trzeba było dotrzeć do podłódzkiej wsi, gdzie mieszkała jego rodzina.

– Jacuś! – krzyknęła mama z kuchni. – Tylko ubierz się ciepło.

– Dlaczego? – spytał naburmuszony, bo wcale nie miał ochoty nigdzie iść.

– Będziemy musieli dojść kawałek od autobusu, a jest strasznie zimno.

– A sami nie mogą zawieźć?

– Kobieta ma małe dzieci i musi się nimi opiekować.

Ubrał się więc, jak radziła, bo już nie raz zmarzł jak potępieniec, nie słuchając mamy, i potem chorował. Pojechali do znajomej i tam nawet mu się podobało. Dom był piękny, drewniany, z dużym terenem dookoła, tylko w holu przywitała ich wielka różowa świnia, łasząc się jak pies. Chrumkała wesoło, obmacując mu dłonie swoim różowym, wilgotnym ryjem w kształcie guzika.

– Buba uwielbia gości – powiedziała gospodyni, pani Hela, wskazując na zwierzę. – Jak ty wyrosłeś! – zdziwiła się kulturalnie i mało odkrywczo.

– Skąd masz to bydlę? – spytała zaszokowana mama.

– To nie bydlę – pouczyła ją Hela. – To trzoda.

– Jakaś ty uczona, odkąd przeniosłaś się na wieś – kąśliwie zauważyła mama.

– Żebyś wiedziała – pochwaliła się Hela, do której właśnie podbiegły dwie identyczne dziewczynki w wieku przedszkolnym.

– A my mamy Bubę! – zadzierały nosa, patrząc z wyższością na Jacka.

– Widzę!

– Czemu trzymacie ją w domu? – ponowiła pytanie Chwatowa.

– Bo jest zimno! – wyjaśniły jej dziewczynki chórem.

– Świń nie trzyma się w domu.

– To nie świnia. To Buba – trzymały się swojego smarkate.

– Dziewczynki, pokażcie Jackowi rybki – poprosiła córki pani Hela. – A my tu się nad sobą poużalamy. – Dostaliśmy tę świnię od pacjenta Wojtka na święta… znaczy do zjedzenia, na rożen, bo sama wiesz, jak jest, w sklepach pusto… To było rok temu… I tak już została.

– Dlaczego jej nie zjedliście? – spytała Chwatowa. Zabrzmiało to prawie oskarżycielsko.

– Zaprzyjaźniliśmy się. Dziewczynki ją wręcz pokochały. No i czy ty wiesz, jakie inteligentne są świnie? Mądrzejsze od szympansa. A nasza to już w ogóle.

– Ale w domu?

– To nasz domownik. Poza tym nie mamy chlewika. Latem jest w ogrodzie… Tylko ziemię ryje i byliny zżera, ale cóż, takie są koszta przyjaźni. Poza tym obejścia pilnuje. Dzieci to już szczególnie, jak najlepszy pies. Tych esbeków, co przyszli po Wojtka, to tak pogoniła, że jeden wlazł na drzewo! – zaśmiewała się Hela. – Milicjantom nie pozwoliła go dotknąć. W końcu jeden strasznie się zdenerwował i zaczął szarpać kaburę z pistoletem. No to ją zawołałam – powiedziała z żalem Hela i dla odmiany zaczęła płakać. – Zabrali go trzynastego grudnia. Samochód się zepsuł, a ja sama z dziećmi i świnią na tym wygwizdowie. Myślałam, że nas tu nie znajdą, że im się nie będzie chciało przyjechać, ale przywlekli się. Zaraz po kolacji. Biedny Wojtuś – otarła nos wierzchem dłoni. – Pewnie tam marznie. On tak lubi ciepło. Mam tu dla niego ciepłe ubrania i szynkę, którą przynieśli sąsiedzi.

– Z jakiejś innej Buby? – kąśliwie spytała Kasia Chwat.

– No co ty!? Buba jest tylko jedna – Hela nie usłyszała sarkazmu. – Dziękuję ci, kochana, że chciało ci się taki kawał do nas jechać po tę paczkę – wzruszyła się. – Załatwiłam ci za to pozwolenie na wyjazd z miasta.

– Co? – wytrzeszczyła oczy Kasia.

– Pozwolenie. Nie wiedziałaś, że trzeba mieć? Tak myślałam. Ja też się zdziwiłam, ale dobrzy ludzie pomogli i już nie musisz po urzędach latać. Inaczej mogliby cię zawrócić. Nasz sąsiad, pan Zbyszek, zabierze was na dworzec.

– Dziękuję.

Wsiedli do pociągu i pojechali do Łęczycy. Stare, jeszcze carskie, więzienie otoczone było wysokim murem. Musieli je całe obejść, zanim znaleźli wejście. Przez chwilę nawet Jacek myślał, że go po prostu nie ma, że będą tak chodzić w kółko, aż się ściemni, dźwigając ciężkie paczki.

– W tym więzieniu za długi karciane siedział mąż Marii Konopnickiej – powiedziała mama.

– Tej od *Krasnoludków i sierotki Marysi*?

– Tej samej, i od *Roty*.

– *Roty*?

– „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród, nie damy pogrześć mowy! Polski my naród…" Słyszałeś w czasie demonstracji – zanuciła mama i zadzwoniła, kiedy w końcu natrafili na bramę.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem otworzyło się małe okienko w drzwiach i zezowaty strażnik popatrzył na nich mało życzliwie.

– Nikogo tu nie ma. Żadnych paczek. Żadnych widzeń – skandował monotonnym głosem, jakby powtarzał to wiele razy.

– Proszę sprawdzić – nalegała mama, przytupując nogami z zimna. Jacek w lot chwycił jej intencję, teatralnie pociągając nosem i kichając.

– Czekać! – rzucił po dłuższym namyśle strażnik, z hukiem zamykając okienko.

Spoglądają na siebie z ponurą, ale cierpliwą determinacją i tkwią na tym zaśnieżonym chodniku pod więziennym murem w ciemności, bo zdążyło się ściemnić, a latarnie co chwila

to gasną, to się zapalają, co potęguje jeszcze ponurą atmosferę. Jacek ma dziwne wrażenie, że to nie dzieje się naprawdę, że to jakiś film albo książka, może sen. Jednak uczucie zimna, przenikający kurtkę zimowy wiatr potwierdzają, że wszystko jest jak najbardziej realne. W końcu drzwi się otwierają i strażnik wychodzi do nich na zewnątrz.

– Przyjmę paczki, ale muszę zobaczyć zawartość – oznajmia, a mama oddycha z ulgą, bo to oznacza, że jednak dziadek i tata tu siedzą, za tym więziennym, okropnym murem.

Gorliwie wykładają na chodnik swetry, bieliznę, lekarstwa i jedzenie z każdej paczki. Po rewizji w końcu strażnik je przejmuje, ale o widzeniu nie ma mowy.

– Trzeba mieć specjalne zezwolenie… z Lutomierskiej – mówi na odchodnym i z pudłami w objęciach nogą zatrzaskuje bramę.

Matka z synem stoją jeszcze kilka sekund pod murem, zanim się odwrócą i ruszą z powrotem na dworzec.

– Przynajmniej teraz nam lekko – pociesza ją Jacek.

– Właśnie – uśmiecha się do niego przez łzy mama.

Na dworcu okazuje się, że nie ma żadnego pociągu i nikt nie wie, kiedy będzie. Jest już bardzo późno i śnieg sypie coraz intensywniej. Mama jest zdenerwowana i z niepokojem przygląda się zziębniętemu i głodnemu synowi.

– Nic mi nie jest – zapewnia ją gorąco Jacek, ale ona mu nie wierzy, bo sama czuje ssanie w żołądku i trzęsie się z zimna i zdenerwowania.

– Niepotrzebnie cię brałam. Mogłeś sobie siedzieć w domu, albo u Kici.

– Pomogłem ci dźwigać – przypomina, zaciskając jednocześnie zęby, żeby się nie rozbeczeć, bo sytuacja wydaje mu się zu-

pełnie bez wyjścia, totalnie przerażająca w tej nocnej pustce przy torach.

– Prawda – uśmiecha się mama. – Bez ciebie nie dałabym rady.

Dookoła nie ma nikogo, jakby wszyscy ludzie zniknęli za murami więzienia. Kolejarz, który powiedział, że dzisiejsze pociągi odjechały i muszą czekać do rana, rozpłynął się gdzieś. Rozglądają się bezradnie i nie wiedzą, co robić. Z ciemności niespodziewanie wyłania się wielka lokomotywa. Staje. Maszynista rozmawia z sokistą[8], który pojawił się nie wiadomo skąd. Kasia Chwatowa rzuca się do niego z rozpaczą w oczach.

– Proszę pana, czy jedzie pan może do Łodzi? – pyta.

– Jadę.

– Wszystko już odjechało, a ja z synem… – zaczyna błagalnie.

– Nie mogę was zabrać. Mam tylko lokomotywę. Trzeba było się nie spóźniać – przerywa jej.

– Nie mogłam… byłam z synem w… – jakaś gula w gardle nie pozwala jej dokończyć.

– W więzieniu? – pyta domyślnie, przypatrując im się z góry ze współczuciem.

– Tak. Siedzą tu mój mąż i teść – wyjaśnia mama.

– No dobrze. Wsiadajcie – mówi mężczyzna z westchnieniem.

Jacek nie może uwierzyć, że będzie jechał lokomotywą. To nawet lepsze niż wesołe miasteczko. Mimo strachu, nagle zobaczył wszystko w zupełnie innym świetle. Może to prawda, co mówił tata, że trudna sytuacja oferuje więcej w zakresie ciekawych wrażeń. Wcześniej nie do końca rozumiał, o co mu chodzi.

W lokomotywie panowało przyjemne ciepło, a motorniczy wyjął ze swojej sfatygowanej teczki termos z herbatą i wysunął zachęcająco w ich stronę. To była najlepsza, najsmaczniejsza herbata, jaką Jacek w życiu pił.

---

[8] Sokista – pracownik Służby Ochrony Kolei.

– Mój szwagier tu siedzi – kontynuował gadatliwy maszynista. – Jechał pociągiem na świniobicie z teczką pełną noży, bo jest rzeźnikiem. Bardzo dobrym rzeźnikiem i wszędzie go zatrudniają, więc jeździ po całej Polsce. Na stacji w Kutnie wsiadają tajniacy i trzepią cały wagon… znaczy rewizja. Jak te noże, tasaki i inne specjalistyczne ostrza zobaczyli, to od razu gwałt, że uzbrojonego opozycjonistę złapali, i w kajdany go. Nic nie pomogło tłumaczenie, że on rzeźnik i o nijakiej konspiracji ani zbrojnym oporze pojęcia nie ma. Polityką się nigdy nie interesował… Pani da dzieciakowi kanapkę do tej herbaty. O tam, obok termosu jest. Teraz, jak siedzi z politycznymi, to jakby mu ktoś okulary dobrze przetarł, tak mówi. I do Solidarności się zapisał. Jak go wypuszczą, to będzie działał. O wolność i demokrację trzeba walczyć, mówi.

Dotarli do domu dobrze po godzinie milicyjnej. Kilka razy chowali się przed patrolem w bramach. Wyludnione ulice wyglądały przerażająco, ale i tak ktoś się gdzieś czasem przemykał, a jakiś pan z psem ostrzegł ich, żeby uważali, bo za rogiem czatują na kogoś tajniacy.

I tak zaczęło się ich życie we dwoje. Miasto jeszcze bardziej zszarzało i posmutniało. Ulicami przejeżdżały czołgi i wozy opancerzone. Na treningi Jacek chodził sam, bo Robert zmienił basen. Jego ulubiony brat stryjeczny Jędrek brał udział w strajku okupacyjnym na politechnice, więc nosił mu tam kanapki, czystą bieliznę i książki. Mnóstwo ludzi dożywiało studentów. Starsze, obce panie piekły ciasta, a inni przynosili, co mogli. Naprawdę działo się mnóstwo.

Pewnego dnia wracał do domu przez plac Dąbrowskiego, a tu straszna zadyma. Dosłownie. Jacek nigdy czegoś takiego nie widział. Jakimś cudem znalazł się w samym środku tłumu skandującego: „Nie ma wolności bez Solidarności!”, który był

spychany przez ZOMO z wielkimi tarczami i pałkami. Przegonieni ludzie oddawali pola, ale niekiedy wyrwał się jakiś pojedynczy bohater i rzucał coś w kierunku napastników. Wtedy zomowcy walili pałami w tarcze, odpalali petardy łzawiące i ruszali za osłoną tarcz, spychając protestujących aż na stopnie Teatru Wielkiego.

Jacek chciał się za wszelką cenę wydostać z placu i uciec jak najdalej od tego pełnego przemocy miejsca, ale dał się ponieść uniesieniu i darł się wniebogłosy jak inni: „Gestapo, gestapo, gestapo!", a potem uciekał, przepychając się i ocierając twarz z lecących ciurkiem łez. Chłopakowi w jego wieku udało się odrzucić petardę na atakujących i zomowcy też płakali. Patrzył na niego z uznaniem i zazdrością.

Kiedy w końcu wyrwał się z tłumu manifestantów, trafił z deszczu pod rynnę, zresztą dosłownie, bo milicja użyła armatek wodnych na demonstrantów. Wyrzucana pod ciśnieniem woda przewróciła Jacka na oblodzony chodnik, upiorne zimno przeniknęło go natychmiast do szpiku kości. Ktoś brutalnie postawił go na nogi i pociągnął do suki, do której pakowano opierających się ludzi, ale zomowiec ukryty za plastikową osłoną odbijającą światła skierował chłopca lekkim kopnięciem w stronę ulicy, rycząc:

– Spierdalaj, gnoju, do domu!

Mama, widząc syna całego mokrego, w pierwszej chwili spojrzała na niego z uznaniem, jak na herosa, którym został zupełnie przypadkowo, a w drugiej uznała, że pora na zmianę i wysłała Jacka do Warty. Bała się, że jeśli i ona zostanie internowana, zabiorą go do domu dziecka. Miał wyrzuty sumienia, że nie powiedział jej, jak było naprawdę, szczególnie kiedy, idąc do kuchni, podsłuchał, jak chwaliła się Kici jego bohaterstwem i że zaczyna lepiej sobie radzić. Dlaczego – zacisnął pięści – dlaczego nie jestem taki jak inni?

Miasteczko

W tym samym momencie, kiedy autobus z ciężkim westchnieniem zatrzymał się przy skrzyżowaniu, słońce zginęło za ciemną chmurą i zrobiło się nieprzyjemnie. Jacek uznał to za zły omen. Siedział przy oknie, z rozpaczą przypatrując się mijanym kamieniczkom, usta wygięły mu się podkówkę, a broda zaczęła drżeć. Nagle jego wzrok padł na dwie kobiety, wychodzące właśnie ze szkoły z noszami, na których leżały torebki i jakieś woreczki. Mocno trzymały za solidne drewniane rączki, a skręcając, zmyliły krok, stanęły się na chwilę, jedna do drugiej coś powiedziała, ruszyły z lewej i po chwili znowu złapały rytm. Twarz chłopca wypogodziła się.

Autobus dojechał na przystanek przy pochyłym ryneczku. Podróżni pospiesznie złapali swoje bagaże i przedzierali się do wyjścia. Chłopiec westchnął i odczekał kilka długich jak wieczność sekund, ale w końcu przemógł się i dosłownie w ostatniej chwili poderwał z siedzenia. Wyszarpnąwszy plecak z półki, z żalem opuścił stary, wysłużony pojazd. Chętnie pojechałby dalej, aż do Poznania, do ciotki, ale powiedziała, że go nie chce… To znaczy nie dosłownie, bo przecież dorośli zawsze tak pięknie się tłumaczą, żeby nikomu nie było przykro, ale prawda i tak na wierzch wylezie i krzyczy wniebogłosy, że Jacek ciotce jest niepotrzebny i tyle…

Dlatego wysiadł w tym małym miasteczku, w którym nie ma basenu i musi zapomnieć o treningach, zawodach i zwycięstwach raz na zawsze… No i nie ma rodziców… ani kolegów… JAK ON TU SOBIE DA RADĘ???

Babci Majerankowej nie lubił, bo prawie jej nie znał. Najgorsze, że nie wiedział, kiedy to wszystko się skończy i czy w ogóle możliwe jest jakieś rozwiązanie. Na razie pobyt w Warcie zapowiadał się na długi, skoro babcia zapisała go do szkoły.

Autobus odjechał, a Jacek stał samotnie na środku placyku i rozmyślając, wpatrywał się w czubki swoich znoszonych butów, kiedy nagle ktoś energicznie złapał go za ramię. Znalazł się przed obliczem pulchnej i niewysokiej Wandy Majerankowej, mamy jego mamy.

– Aleś ty wyrósł! – powiedziała powściągliwie.

– Dzień dobry, babciu – burknął pod nosem.

– Pączków nasmażyłam! – pochwaliła się.

– To miło – powiedział bez entuzjazmu.

– Nie martw się – pocieszyła go, porzucając momentalnie swój optymistyczny nastrój. – Jakoś to będzie. W końcu ich przecież wypuszczą.

– Kiedy? – spytał z trudem, powstrzymując pchające się do oczu łzy.

– Tego nie wiem – westchnęła smutno. – Ale za jakiś czas będzie ich można odwiedzić.

– Dziadek i tata siedzą w różnych obozach – przypomniał jej Jacek.

– To będziemy podróżować! – obcesowo szturchnęła wnuka łokciem w bok.

– Tak do tego podchodzisz, jakby to były obozy harcerskie – spojrzał na nią z naganą.

– Mój drogi – powiedziała z wolna, jak przedszkolak wprawiając jednocześnie siatkę z ziemniakami w obrotowy ruch. –

Nie w takich obozach się siedziało, żebym się teraz nad nimi użalała.

– Byłaś internowana? – zdumiał się.

– Można to tak nazwać… No ale to nie miejsce na taką rozmowę – ucięła, nagle jakaś zadumana i zapatrzona w dal.

Zaskoczyła go tą informacją, ale nie naciskał. Skoro to nie jest odpowiednia chwila, to pewnie wkrótce i tak się dowie. Rozejrzał się dookoła. Maszerowali przez długi, prostokątny rynek, który zatracał się już w wieczornej szarówce, a latarnie właśnie zaczęły mrugać. Ze sklepików na parterze niewielkich kamieniczek wychodzili ludzie z zakupami. Jakiś wielki, ciemny kształt zniknął w uliczce odchodzącej w bok, zanim chłopiec zdążył rozpoznać, co to. Zaintrygowany już miał pociągnąć babcię za rękaw, ale coś innego zaprzątnęło jego uwagę. Obok nich śmigały na łyżwach wracające ze szkoły dzieci. Fajnie wracać ze szkoły na łyżwach – pierwszy raz zaświtała mu jakaś pozytywna refleksja na temat tego miejsca, ale po chwili przypomniał sobie, że przecież nie ma łyżew.

– Nie martw się, znajdę ci jakieś łyżwy – pocieszyła go babcia Majerankowa, jakby czytała w jego myślach, aż popatrzył na nią przestraszony. – Twój wujek jeździł na łyżwach i twoja mama. Coś tam pewnie jeszcze jest na strychu.

Jacek dopiero teraz przyjrzał się mijającym go dzieciom i zauważył, że większość z nich ma staroświeckie ostrza przyczepione bezpośrednio do butów.

Po drodze zatrzymywali się kilka razy, bo babcia ciągle go komuś przedstawiała. Potem weszli do księgarni i kupili kilka książek.

– Specjalnie dla pani zostawiłem – księgarz wyraźnie się podlizywał.

– Jestem niezmiernie wdzięczna – uśmiechnęła się do niego.

„Niezmiernie", „niezmiernie" – wnuk smakował przez chwilę rzadkie słowo, jakby to był jakiś nieznany cukierek.

Kiedy wyszli, było już prawie zupełnie ciemno i zaczął sypać śnieg. Z naprzeciwka szły te same kobiety, które widział wcześniej, lecz tym razem nosze musiały być dużo cięższe, a one maszerowały z ponurą determinacją.

– Dzień dobry – przywitała się babcia.

Natychmiast postawiły nosze na śniegu. Jakże się zdziwił, kiedy zauważył, że ktoś na nich leży, ktoś przykryty prześcieradłem, spod którego wystawały stopy w sznurowanych za kostkę butach, w dodatku czerwonych. Wzrok chłopca powędrował dalej wzdłuż wyciągniętej postaci, aż do głowy, otulonej tkaniną z wyraźnym zarysem nosa.

– Mamusia zmarła – rzeczowo poinformowała ich jedna z kobiet, ta od strony nóg, rozcierając ścierpnięte dłonie. Śnieg prószył na jej kraciasty płaszcz i wielkie, jasne loki, wymykające się spod futrzanej czapki.

– No właśnie słyszałam, i Mer tak strasznie wył. Ciekawa byłam, kto umarł, no i proszę. Nie sądziłam, mimo wszystko, że to już. Za każdym razem dziwię się tak samo – skwitowała śmierć babcia, tak jakby można jej było doświadczyć osobiście kilka razy, i smutno pokiwała głową w kierunku przykrytego ciała.

I chyba na ten smutek kobieta od strony głowy zamotana grubym szalem zaczęła rozdzierająco płakać. Tkwiące na gzymsach apatycznie gołębie zerwały się gwałtownie i wypełniły rynek głośnym furkotem skrzydeł. Ludzie zatrzymywali się i patrzyli na nich z zaciekawieniem, ale natychmiast podejmowali swój marsz, jakby trup na noszach był czymś zupełnie zwyczajnym.

Ta z lokami stała spokojnie, kiwając głową, babcia cierpliwie czekała, a ta druga w szalu zawodziła, po czym gwałtownie zamilkła, wyjęła z kieszeni wielką chustkę i wysmarkała nos.

– No ale co poradzić. Się żyje i się umiera – stwierdziła zupełnie spokojnie. – Pożyczyłyśmy nosze ze szkoły i teraz niesiemy ją do domu… Jej domu… – wskazała głową na ciało – …na mary.

– Bo u Teresy zmarła mamusia – wyjaśniła ta od stóp.

– We śnie – dodała ta od głowy, czyli Teresa. – Przychodzę ci ja do niej rano, bo u mnie nocowała po imieninach, pytam: „Kawę czy herbatę będzie mamusia piła?", a ona nic. To podchodzę bliżej, a ona zimna. To zawołałam Krysię i lekarza. Umyłyśmy, ubrałyśmy, póki łatwo, bo później to wiadomo, człowiek sztywnieje, i idziemy. Już wieczorem będzie można mamusię żegnać. Pogrzeb za trzy dni, a dziewczyna będzie mieszkać u mnie… Na razie.

– Będę, będę, a jakże, ale jutro. Wnuk przyjechał – potwierdziła przybycie babcia i przedstawiła go kobietom.

Te skinęły do niego, chwyciły za rączki i unosząc nosze z martwą matką oddaliły się jak gdyby nigdy nic.

Jacek szedł w milczeniu dłuższą chwilę, aż spytał:

– Co to są namary?

– Słucham? – zdziwiła się w pierwszej chwili babcia, ale zaraz twarz jej się rozjaśniła. – Na mary! Zmarły leży na marach najczęściej w domu na stole, a rodzina, przyjaciele, sąsiedzi przychodzą, żeby się z nim pożegnać. Wkrótce sam zobaczysz – obiecała, ale Jacek wcale nie był pewien, czy ma ochotę to oglądać. Natychmiast jednak zdał sobie sprawę, że nie może też darować sobie i nie obejrzeć ciała mamusi poznanych przed chwilą kobiet – Teresy i Krystyny. I kim jest dziewczyna?

Doszli do niewielkiego domku z werandą. Ledwo go pamiętał, bo ostatnio nie odwiedzali babci. Od progu poczuł zapach ziół i smażonego ciasta, a kiedy Majerankowa zapaliła światło, zobaczył na kuchennym stole stos upudrowanych cukrem pączków.

– No i jak? – spytała babcia dumna z siebie. – Udały mi się! A już myślałam, że nie pamiętam przepisu, tak dawno ich nie robiłam.

– Piękne – powiedział, przełykając ślinę.

Zaprowadziła go do łazienki, żeby umył ręce. Woda leciała z kranu, a on spoglądał na swoje odbicie w pociemniałym ze starości lustrze, ale wcale się nie poznawał. Jakiś zupełnie obcy, wątły i niezbyt wysoki chłopiec patrzył na niego wielkimi, wylęknionymi oczami. Nawet zazwyczaj wijące się włosy, teraz zwisały ponurymi strąkami z zafrasowanego wysokiego czoła. Nagle zdał sobie sprawę ze swojej samotności. Znalazł się w nowym miejscu u obcej właściwie babci, a pojutrze pójdzie do obcej szkoły pełnej nieznanych ludzi. Czy będzie pasował do tego wszystkiego? Czy miasteczko będzie pasowało do niego? Usta zaczęły mu niebezpiecznie drgać i uświadomił sobie, że życie, które za sobą zostawił, nie było wcale takie złe, a nawet szczęśliwe, bo ciekawe i pełne nieoczekiwanych zwrotów, chociaż w każdej chwili mogli przyjść milicjanci albo ci drudzy, w cywilu z SB, o wiele gorsi… Zdał sobie sprawę ze straty i miał do siebie pretensje, że nie celebrował właściwie tego szczęścia. Faktu, że chodzi do fajnej szkoły, na treningi, i że ma szansę na wygranie zawodów, a także że ma całkiem fajnych rodziców, którzy, jak się okazało, byli bohaterami. Zanim serce zabolało go z rozpaczy i użalania się nad sobą, babcia zawołała go donośnym głosem na kolację.

Przy jedzeniu nie mieli sobie specjalnie dużo do powiedzenia. Nie wypytywała o rodziców, za co był jej wdzięczny. Wiedział, że między babcią a nimi nie wszystko układało się dobrze, chociaż nie rozumiał dlaczego. Obejrzeli jakiś film w telewizji, zupełnie dla dorosłych, na który mama na pewno by się nie zgodziła, i napili się jakiejś dziwnej ziołowej, ale smacznej herbaty. Napchał się pączkami, które rzeczywiście

były nadzwyczajne. Potem ciemnym, chłodnym korytarzem zaprowadziła go babcia do pokoju, który miał zajmować. Był to rodzaj niewielkiej biblioteki z wąskim łóżkiem, biurkiem i piecem w rogu.

– A gdzie włącznik do światła w korytarzu? – spytał struchlały, że będzie musiał codziennie przemierzać tę nieprzyjazną część domu.

– Tutaj! A tu cię umieściłam – powiedziała od progu, jakby był jakąś paczką albo przedmiotem. – Połóż się spać… To chyba był wyczerpujący dzień – stała, nie wiedząc, co dalej, i bezwiednie drapała się po przedramieniu. Zawahała się, ale w końcu wyciągnęła rękę i potargała mu włosy, po czym szybko wyszła.

Położył się, ale nie mógł zasnąć, bo słyszał przerażające dźwięki, jakie wydawał z siebie drewniany dom, piec i wyjący, zimowy wiatr, napierający z dziką furią na ściany. Przed oczami widział drobne ciało na noszach, spowite białą tkaniną, z wystającymi spod prześcieradła stopami, które poruszały się całkiem żwawo, rytmicznie o siebie uderzając.

– Mamusia przestanie – powiedziała z naganą Teresa. – Czy mamusia zawsze musi wszystko robić na opak? Nawet umrzeć mamusia nie może normalnie, jak zwykły człowiek. Ile to razy wstydu się musiałam przez mamusię najeść? – machnęła ręką zniechęcona, a stopy zastukały szybciej i jakby przekorniej.

– Prawda, prawda. Mamusia nie zaprzecza! – gorliwie przytaknęła druga córka. – A jak jutro ludzie przyjdą się z mamusią pożegnać, to żeby mamusia żadnych brewerii nie wyprawiała i wstydu nam nie przyniosła. Jeszcze osikowym kołkiem mamusię trzeba będzie przebić, a tego byśmy nie chciały… Nie mówiąc już… – zamilkła nagle, jakby powiedziała za dużo.

Stopy znieruchomiały przestraszone, ale stuknęły jeden, ostatni raz, jakby chciały mieć ostatnie słowo, za to głowa

zmarłej zaczęła się unosić, a biały welon zsuwać z twarzy i… wtedy obudził się zlany potem. Wydawało mu się, że nawet słyszał własny krzyk, ale teraz było cicho, ciemno, bo ogień w piecu wygasł i nie rzucał już na ściany złowrogich cieni. Bał się zasnąć. Nie chciał wrócić do snu i zobaczyć twarzy zmarłej staruszki, ale jak zwykle ciekawość okazała się większa od strachu. Niestety tym razem nie udało mu się dośnić końca. Spał jak kamień do rana, kiedy to babcia obudziła go głośnym wygarnianiem popiołu z pieca.

– Budź się. Nauczę cię palić w piecu. Patrz uważnie.

No to patrzył, jak do oczyszczonego pieca pakuje bryły węgla na przemian z kawałkami drewna i gazet. A potem podpala jedną zapałką, jak czarodziejka. Płomień szybko ogarnął papier, a potem resztę. W kominie zaczęło huczeć.

– Słyszysz, jaki ciąg? – pochwaliła piec babcia. – Zaraz zrobi się ciepło. Jak się ubierzesz, możesz wynieść popiół do skrzyni.

– Nie do śmieci? – zdziwił się.

– Jak będzie ślisko, posypiemy chodnik przed domem, żebyśmy się nie poprzewracali.

Zjedli śniadanie. Jajecznica z hodowanym na parapecie szczypiorem smakowała wybornie. W każdym razie do momentu, kiedy babcia go nie spytała:

– A co ci się śniło? Herbata była z bylicą, a po niej lepiej pamięta się sny. Wiesz, pierwszy sen w nowym miejscu sprawdzi się. To coś w rodzaju proroctwa.

Jacek zaniemówił z widelcem w ustach i nie był w stanie nic przełknąć. Nocna mara pojawiła się w wyobraźni jak żywa. Oczy rozszerzyły mu się ze strachu.

– No… ale wiesz… to tylko przesąd – powiedziała, widząc jego reakcję. – Inni z kolei mówią: „Sen mara, Bóg wiara". Podobno pomaga, nawet jak się jest niewierzącym. A w ogóle to

sny pomagają nam się mierzyć z rzeczywistością – pouczyła go. – I wygrywać!

Natychmiast sobie to powtórzył w myśli i faktycznie – strach jakby odpuścił, natomiast zdenerwował się, ponieważ babcia Majerankowa po raz kolejny wiedziała za dużo, zupełnie jakby siedziała w jego głowie. Przypomniał sobie, że to zawsze bardzo irytowało tatę.

– To co ci się śniło? – nalegała.

– Ta zmarła pani.

– I co mówiła? – zainteresowała się babcia.

– Nic nie mówiła – odpowiedział zgodnie z prawdą, a ona jakby posmutniała. – Ale za to żwawo ruszała stopami.

Teraz babcia uśmiechnęła się szeroko.

– Wiktoria była moją przyjaciółką – zwierzyła mu się, a on spojrzał na nią zaszokowany, że jest taka spokojna po śmierci bliskiej osoby, bo zawsze bardzo cenił sobie przyjaźń.

– Przyjaciółka? I nie rozpaczasz?

– „Nie wszystek umrę”[9]! Nie uczyli cię na religii?

– Nie pamiętam. Ja się boję śmierci – wyszeptał.

– Teraz?

– Tak.

– Teraz nie umierasz.

– I tak się boję.

– Przyjdzie czas umierania, to się będziesz bał… albo…

– Albo? – złapał się tego „albo” jak ostatniej deski ratunku.

– Albo wcale nie będziesz. Czego tu się bać? – spytała z tak wielkim zdziwieniem, że popatrzył na nią z podziwem. Jaka ona jest, ta babcia Majerankowa… odważna, mocna taka, że śmierci się nie boi.

---

[9] Horacy, *Pieśń III*.

Poza tą rozmową niedziela minęła spokojnie, wręcz sennie. Czytał, rozwiązywał krzyżówki i obserwował harce dzikich kotów w ogrodzie. Babcia namówiła go na spacer.

– Idź, zobacz sobie miasto. Nie zgubisz się. Każda droga prowadzi do rynku, a stamtąd to już trafisz do domu.

No to poszedł. Rozdzwoniły się dzwony i senne dotąd miasteczko ożyło, ludzie ciągnęli do kościoła całymi rodzinami. Śnieg miło chrzęścił pod butami. Szedł przed siebie aż za ostatnie zabudowania starą, wysadzaną wielkimi drzewami drogą. Nagle dobiegły go głosy gwałtownej kłótni zza kępy krzaków po prawej stronie.

– Słuchaj, gówniaro! – warknął jakiś głos. – Albo oddasz, coś zabrała, albo dostaniesz w ryj.

Jacek ukrył się za zwalonym pniem i rozchylił gałęzie. Na niewielkiej polance kilku starszych chłopaków stało wokół jednego chudego dzieciaka płci żeńskiej, mniej więcej w jego wieku.

– W ryj! – zdecydowała dzielnie chuda.

– Ty tu z nami nie pogrywaj – zdenerwował się napakowany chłopak w czapce uszatce, złapał dziewczynkę za płaszczyk i jedną ręką podniósł do swoich utopionych w tłuszczu oczek. Nogi małej dyndały w powietrzu jak u pajaca, czarna czapka z czerwonym pomponem przechyliła się na ucho.

– No! – ponaglił i wziął szeroki zamach drugą ręką.

Widać było z daleka, że chuda nie zmierza się złamać. Krąg wyrostków wokół niej zaczął się zacieśniać. Boże, jak on jej zazdrościł tej nieosiągalnej dla niego, niezłomnej postawy. Powinien wyleźć z tych bezpiecznych zarośli i coś zrobić, tylko co? Tylko co? Przecież jest ich więcej! Nie da rady! Nigdy nie dawał rady! Sam nie wiedząc jak, zupełnie nieświadomie schylił się i szybko ulepił ogromną śniegową kulę. Znalazł wolną przestrzeń między gałęziami, rzucił śnieżkę prosto w czerwony

nos napastnika, po czym natychmiast schował się w zagłębieniu starego drzewa. Chłopcy rozglądali się bezradnie dookoła. Co on zrobił! Spocił się ze strachu jak mysz. Zaraz go dopadną.

– O! – jęknął napakowany, łapiąc się za nos. Chuda opadła bezwładnie na ziemię, ale okazała się na tyle bystra, że błyskawicznie dała nura między nogami chłopaków i zanim ktokolwiek się zorientował, przepadła w gęstych zaroślach, wrzeszcząc triumfująco na odchodnym:

– Mówiłam, że spotka cię kara!

– Łapać tę małą czarownicę! – wrzeszczał napakowany, trzymając się za zakrwawiony nos.

Jego niezbyt rozgarnięci kompani dopiero teraz ruszyli się z miejsca, ale za późno. Mała rwała w kierunku rzeki, jakby ją diabeł gonił, a w stronę miasteczka, kryjąc się między drzewami, uciekał Jacek. Miał nadzieję, że nie zdołali mu się przyjrzeć. Zatrzymał się dopiero za jakąś szopą i zza rogu obejrzał za siebie. Nikt go nie gonił. Chłopaki ruszyły za chudą, która wybrała kierunek zupełnie bez sensu, ponieważ zaraz drogę zagrodzi jej rzeka i zostanie dopadnięta, jednak dystans między napastnikami a dziewczynką rósł. Nie wiadomo skąd, zamieć spadła na nadrzeczne błonia. Chuda nagle zniknęła, jakby zapadła się pod ziemię. Wyrostki zatrzymały się zaskoczone, a kiedy jeden zapadł się po kolana w jakiejś rozpadlinie, skupili się wokół napakowanego, któremu krew lała się strumieniem z nosa.

Jacek uśmiechnął się z satysfakcją, chociaż sumienie miał lekko obciążone kamieniem umieszczonym w śnieżce. Przez chwilę czuł się zagubiony w wielkiej bieli, ale zapłonęły latarnie i poczuł się bezpiecznie, kiedy zmierzał w ich kierunku.

Po powrocie czekała na niego zupa pomidorowa i mielony kotlet z ziemniakami i surówką z marchewki. Westchnął ze szczęścia, bo mama nie zawsze miała czas na taki dwudaniowy obiad.

Nieodżałowana Wiktoria

Późnym wieczorem udali się żegnać zmarłą Wiktorię Wilczyńską.

Stanął na progu obok babci i tkwił tak jak wryty. Wcale nie miał ochoty uczestniczyć w tym przedziwnym zgromadzeniu. Pokój rozjaśniały świece poustawiane na kilku talerzykach, a z ciemnego żyrandola zwisały pióra, zioła i jeden bardzo złowieszczy sierp. Naprzeciwko drzwi, przy przeciwległej ścianie, stał stół, a na nim otwarta trumna pod kątem, tak żeby można było dokładnie przyjrzeć się zmarłej. Leżała z dłońmi grzecznie złożonymi na piersiach, owiniętymi czerwonymi koralikami różańca. Nie miała wcale długiego nosa, jak mu się wydawało, kiedy widział ją na noszach przykrytą prześcieradłem. Chwiejący się płomień gromnicy rzucał na nią światło, które razem z poruszającymi się cieniami, niepokojąco ożywiało twarz zmarłej. Przy ścianach na krzesłach siedzieli goście.

Jacek z trudem przełknął ślinę. Miał wrażenie, że to ciąg dalszy nocnego koszmaru. Krystyna podeszła do nich i poczęstowała babcię kieliszkiem wódki i ciastem, a jemu Teresa podsunęła kryształ z czekoladowymi cukierkami. Automatycznie wyciągnął rękę. Wszyscy poruszali ustami w jakiejś nieznanej mu modlitwie za zmarłych, a Wiktoria uśmiechała się pod nosem szyderczo. Co za szczęście, że nie widać jej stóp – pomyślał z ulgą i wtedy zobaczył czerwone czubki butów wystające z białych koronek, wyścielających trumnę.